

- Macie dziś żur, czuję - rozpoczynał, wpatrując się w jeden, nieokreślony punkt kuchennego sufitu - czuję. To co? Renta przyszła? - zwracał się już bezpośrednio, naświetlając babcine oczy jaskrawością niezgłębionego smutku - A ja nie mam dzisiaj co jeść. O! I pewnie torcik już w spiżarni?

Istotnie. Nigdy się nie mylił. Babcina renta, przychodziła na listonoszowych nogach już wczesnym rankiem, witała wszystkich domowników uśmiechem i perspektywą wieczornej biesiady, w każdy taki dzień, jako najmłodszy, musiałem biec do najbliższej cukierni po czekoladowe ciasto - clue de temps - uwieńczenie chwały rodzinnego zmartwychwstania.

Przybyłek nie był zwykłym dziadem prośbą. Był dziadem żądającym. Trudną sztukę negocjacji opanował do perfekcji, a - zmieniwszy futerkową miękkość pokornego błagania w stalowy pancerz bezwarunkowej kapitulacji, przyniżony do podszewki mimowolnego poczucia winy przeciwnika, podświadomie wyczuwając każdy ze słabych jego punktów - zawsze osiągał swój cel. Zanim obcięto mu nogę, pracował i mieszkał na żydowskim cmentarzu. Tu, przez lata, jak opowiadał: mył, stroił, zakładał tałesy z obciętymi frędzlami, odprowadzał, słuchał, zakopywał, inkasował. A co zarobił - to przepijał, w okolicznych knajpach czarował słuchaczy opowieściami o zmarłych starozakonnych, o tym, że wcale nie chowa się ich na siedząco i o tym, że wcale tak dużo nie zarabia, żeby wszystkim stawiać kolejki. Gdy trzeźwiał, pozaświadoma religijność weń wstępowała, po każdej uroczystości zjawiał się u nas w domu i, głosem dostojnym, podniósłszy prawą dłoń, a wskazujący palec skierowawszy ku niebu, recytował zapamiętany werset Księgi Daniela: "Lecz ty idź swoją drogą, aż przyjdzie koniec, i spoczniesz", a babcia, domagając się, by powtórzył to samo po hebrajsku, łądowała równocześnie na talerz ponadnormatywną porcję tego, co akurat było w domu. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem jego niezwykłego pietyzmu w obchodzeniu się ze zmarłymi, w obchodzeniu się z obcojęzycznymi zmarłymi, i tego, że swoich - jeszcze żywych - po godzinach - pałował z równym, co funeralne, zaangażowaniem. Pił - za ile starczało, a picie swoje uważał za całkowicie logiczny skutek ciągu przyczynowego, część misji, jaką tu, na Ziemi miał do spełnienia.

- Pani kochana - odpowiadał babci, gdy ta zahaczała w rozmowie o drażliwy etanolowy temat - pani kochana, toć dwóch największych łotrów wszechczasów było abstynentami: Hitler i Beria! Znaczy to, że, nie ujmując pani w niczym, najdroższa, dobroć ludzka mierzy się na kielichy, nie inaczej. Żeby dobrze pracować, trzeba pić, a w domu, z bachorami na trzeźwo człowiek nie wytrzyma.

Chyba nikt z nas nie wiedział, czy Przybyłek miał dzieci. Podobno było ich kilkoro - część wygnał z domu, część przeklął, a reszta - sama uciekła. Żonę zaś - miał na pewno. Wypasione Dreies K. (Kinder, Kuche, Kirche), z pomocą pięści, zredukował do niezbędnego Eine K., jego ślubna tygodniami nie wychodziła z domu, a kolejne podawane do stołu zbyt słone zupy, oznaczały jej twarz co raz to wymyślniejszymi kształtami sińców.

- Zobaczycie, wezmą ją kiedyś żywcem do nieba! - wzdychała babcia, dziadek nigdy jej nie bił, ba, nawet nie podniósł na nią głosu, i ów spokój w małżeńskim obcowaniu, oddał, w jej ocenie, szansę na uzyskanie przedśmiernej świętości.

Niestety, ktoś na górze, nie docenił kuchennych sukcesów Przybyłkowej, nie wziął pod uwagę artystycznie zdeformowanego kształtu jej nosa, zbagatelizował światłocienną aurę odbijaną od różnobarwnych efektów pedagogicznych rękoczynów jej męża, ktoś na górze zapomniał o babcinych sugestiach. Któregoś dnia, wraz ze stukiem mosiężnie zakończonych kul, do naszego domu wdarła się ponura wieść o raku, piorunującym, niespodziewanym efekcie rutynowych lekarskich auskultacji, auskultacji, jakim, na żądanie męża, poddała się owa posłuszna niewiasta, auskultacji w skutkach - nieobliczalnych.

- To po coś pan ją wysyłał do tego szpitala? Jak można tak złego prowokować? - babcia, odwrócona w stronę kuchenki, trzymała już chochlę - Kochanie, podaj panu talerz!

Zastawa w mig znalazła się na stole, przed gościem.

- Jak to po co? Coraz chudsza była, pani widziała - wymłaskał Przybyłek, wbiwszy swoje mackowate oczy w dno naczynia, młaskał coraz głośniejsze, mamlął, ślimtał, nigdy wcześniej tak obficie nie okraszał sąsiedzkiego obiadu, ale tym razem, nad strugami spływającej z kącików ust zupy górowały inne krople, dopiero co oderwane od jego policzków. Nie widziałem dotąd takiego zjawiska. Ciecze dublowały się, mieszały, nie tyle współlistniały, ile - uzupełniały się wzajemnie, wzmacniały tony. Bolero? I usłyszałem ich słoną muzykę, zobaczyłem fragment matematycznego kodu, gęstniejącego na pięciolinii wraz z każdym następnym łykiem, coraz to mocniej akcentowanego, mocniej, dobitniej, dostojniej. Requiem?

- Teraz musi się pan nią zaopiekować - postanowiła babcia - zanieś jej pan moją zupę.

- Ale co to da?

- Jak to co? Jest pan jej to winien.

Na dźwięk słów: "winien", "dłużny", zazwyczaj bez słowa wycofywał się za drzwi, nie tym razem jednak. Wciąż siedział, oparty o blat, zgarbiony, a lepkie oczy mitycznej Chimery nieprzerwanie drążyły miejsce, gdzie przed chwilą ów niespodziewany wodny koncert majestatycznie dobrzmiał do końcowego Amen.

- Lecz ty idź swoją drogą, aż przyjdzie koniec, i spoczniesz...

- Nie spoczniesz, nie spoczniesz, masz tu pan zupę i wypylaj pan do tego szpitala! - babcia bywała czasem ckliwa, ale bywała też metodycznie okrutna, dlatego przez kolejnych kilkanaście dni Przybyłek wędrował, w te i we wte, sunął, za pomocą tych swoich szczudeł - od szpitala do babcinej kuchni, tam i z powrotem, niczym opancerzony garnkami transporter: marchwianek, rosółów, krupników i kartoflanek. A kiedy, któregoś dnia, oznajmił:

- Moja chce dziś ogórkową! - domyśliliśmy się, że to już koniec.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

dr_brunet, dodano 28.06.2012 20:12

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.